Rok II. WE LWOWIE, dnia 1. lutego 1893. **Nr. 3.**

PRZEGLĄD EMIGRACYJNY

DWUTYGODNIK EKONOMICZNO-SPOŁECZNY.

Wychodzi we Lwowie rok II. 1. i 15. każdego miesiąca.

Prenumerata z przesyłką wynosi:

	Roczna	Półroczna	Kwartalna
W monarchii austryacko-węgierskiej	4 złote reńskie	2 złr.	1 złr. 10 ct.
„ cesarstwie rosyjskiem	4 rubli srebr.	2 rs.	1 rs. 10 k.
„ „ niemieckiem i Brazylii	8 marek	4 mk.	2 m. 20 fn.
„ Francyi, krajach unii łacińskiej, Brazylii i Argentynie	10 franków	5 fr.	
„ Anglii	8 szylingów	4 szyl.	
„ Stanach Zjednoczonych	2 dolary	1 dol.	

Pod kopertą o 1/3 więcej.

Redakcya i Administracya: Lwów Ossolińskich 11.

Prenumeratę dla **Ameryki Północnej** przyjmuje Kantor kolportacyjno-księgarski K. Sawicki Chicago Ill., 572 Noble ulica.

Dla Lwowa prenumerata, ekspedycya i sprzedaż numerów pojedynczych po 20 ct. w Biurze dzienników ul. Karola Ludwika l. 3.

Ogłoszenia przyjmuje Administracya za opłatą od miejsca wiersza drobnem pismem (petit) za pierwszy raz 10 ct. w. a. za każdy następny raz po 5 ct. w. a.

Pod redakcyą Stanisława Kłobukowskiego.

Review of the Polish Emigration Austria, Lemberg.

Do polskiej prasy amerykańskiej

w sprawie wystawy Lwowskiej 1894 r.

Życzliwe zachowanie się względem pisma naszego ze strony naszych kolegów w północnej Ameryce nie przeszkadza im krytykować naszych artykułów omawiających stosunki odłamu narodowego wśród którego żyją i działają. Krytyka jest po większej części słuszna i ściąga się więcej do szczegułów samego zapewne bardzo niedokładnego przedstawienia naszego niż do naszych chęci; te przynajmniej uznane są należycie. Z góry wiedzieliśmy, że zadanie, na które porwaliśmy się, nie jest łatwem i że nie podołamy jemu odrazu z samego początku naszego istnienia. Jeżeli nie dość wyczerpującemi są nasze sprawozdania o Polakach w Stanach Zjednoczonych, skąd otrzymujemy dzienniki, korespondencye i opowiadania żywych osób, toż tem mniej jeszcze niemi muszą być wiadomości podane przez nas o innych zakątkach kuli ziemskiej. Mamy jednak wszelką nadzieję, że niezadługo bardzo się poprawimy przez umieszczanie oryginalnych korrespondencyi, jakich oczekujemy i o ktore w imieniu dobra publicznego bardzo prosilibyśmy znajomych wszystkich i nieznajomych. Że jednak rzecz, nie rozpoczęta z całą precezyą, jest pożyteczną już przez to samo, że została zapoczątkowaną, dowodzi dotychczasowe nasze doświadczenie; z radością widzimy coraz jaśniej, że praca nasza nie idzie na marne. Wyniki jej najważniejsze należą i należyć będą do nieuchwytnych, lecz też nie brak i namacalnych. Jak mało w „starych krajach" naszych polskich wiedziano o rodakach, którzy osiedli w Ameryce, niech służy za dowód, że te nasze „tak powierzchowne, niedokładne, niesprawiedliwe", i td. opisy są przeważnie istnem odsłonięciem rzeczy jaknajzupełniej nieznanych. Jeżeli co osiągnąć przedewszystkiem pragnęliśmy, to wzbudzenie żywego powszechnego zajęcia dla rodaków na obczyźnie. Zdaje nam się, że jesteśmy przynajmniej na drodze wiodącej do tego celu. Przed paru dniami doznaliśmy w redakcyi przyjemnego dla nas, a formalnego rabunku ze strony braci z pod panowania rosyjskiego, dokąd nie uzyskaliśmy jeszcze debitu pocztowego. Dosyć wielka ilość gazet polskich, amerykańskich, mniej lub więcej jeszcze nam potrzebnych, została rozchwytaną i popakowaną bez pardonu do kuferków, aby się rozejść po różnych miejscowościach za kordonem, o ile zdołają przemknąć się przez granicę rosyjską. Będą one świadczyły najwymowniej o istnieniu braci za oceanem. Uznaliśmy, że one tam są potrzebniejsze niż u nas i że sposobności takiej najwłaściwszego ich umieszczania nie godziło się sprzeciwiać zbyt rzymskiem pojęciem o prawie własności.

Jednak paczki gazet, wędrujące nawet po jak największej ilości miejsc, niedokładnie jeszcze zaznajomią wielkie masy ogółu naszego o braci północno amerykańskiej. Należałoby skorzystać z jednej świetnej sposobności w roku przyszłym t. j. z wystawy krajowej galicyjskiej we Lwowie 1894 r. i do niej zawczasu się przygotowywać. Rok 1894 będzie prawdopodobnie ze wszech miar pamiętny dla nas Polaków. Mnożą się usiłowania pokazania światu czego dokazała żywotność nasza narodowa po 100 latach i jak małe wyniki są usiłowań ograniczenia jej; a te ostatnie przecież przedsiębrane były i są jeszcze nie na żarty z całą siłą najpotężniejszych maszyneryi państwowych. Ten rok 1894. słusznie przezwany byłby Kościuszkowskim; postać naczelnika w sukmanie górować w nim będzie.

Literaci i dziennikarze polscy w Galicyi postanowili wystąpić z postawieniem niejako pamiętnego słupa na znak odbytej przez inteligencyę polską drogi stuletniej. Jeszcze niepodobna przewidzieć z całą dokładnością w szczegółach jak ten słup będzie wyglądał, z czego się będzie składał, czem będzie przyozdobiony. To tylko jest pewna, że stanie. Pomijając pomysły mniej jeszcze wyraźne, choć wspanialsze, na razie wyłaniają się dwa projekta, które, zdaje się, spadły z obłoków niepewności parlamentarneg o omawiania.

Są to najpierw powzięta (przez p. Frylinga) w „Kole literackiem" myśl wydania książki pamiątkowej (almanachu) początkiem 1894 po polsku i w innych językach. Książka ta będzie zawierała treściwą i suchą charakterystykę wszystkich polskich czasopism wychodzących w 1894 r. z podaniem ich redaktorów i wydawców oraz krótką biografię wszystkich literatów polskich. Byłoby do życzenia, żeby nie cofnięto się przed wnioskiem bardzo znanego i cenionego malarza p. Styki (autora Polonii) dołączenia wizerunku każdego szermierza pióra, o ile który nie będzie przeciwny umieszczeniu swej podobizny. Inne postanowienie tego samego ducha przybrało postać wyraźniejszą i pewniejszą. Jestto projekt wystawienia wszystkich czasopism polskich rusińskich i litewskich istniejących na kuli ziemskiej, a nie mniej wszystkich żydowskich żargonowych, niemieckich i rosyjskich wychodzących na obszarze ziem polskich. Uwidoczniony będzie rozwój prasy naszej od stu lat, lecz nie koniecznie przez to żeby wszystkie roczniki wszystkich czasopism znajdowały się przed oczyma zwiedzających; na to trzebaby wypełnić kilka sal i nie dałoby się przez to zwiedzającym potrzebnego jasnego obrazu całości. Młoda prasa polska w Ameryce powinna zająć pokaźne, należne jej, miejsce i niepowinien z zamorza brakować ani jeden okaz jakiegobądź pisma tam wychodzącego w 1894 lub nawet takiego, które przestało wychodzić. Sądzimy, że nie będzie za wcześnie już teraz pomyśleć w Ameryce o zbieraniu okazów, które dałyby obraz rozwoju czasopiśmiennictwa polskiego w nowym świecie. Przeto wzywamy wszystkie organa prasy naszej bratniej z za oceanu, by się w tym względzie rozejrzały i zawiązały zbiorowo lub z osobna jakie porozumienie z referentem wystawowej sekcyi dziennikarskiej p. Platonem Kosteckim, członkiem Redakcyi Gazety Narodowej we Lwowie. Porozumienie to polegałoby na nadsyłaniu dokładnych wiadomości o istniejących i byłych czasopismach polskich, litewskich i rusińskich w Stanach Zjednoczonych, na nadsyłaniu pojedynczych okazów i w ogóle na przedstawianiu w jaki praktyczny sposób można przyczynić się do tego dzieła. Ważne skutki zapoznawania ogółu polskiego europejskiego z czasopiśmiennictwem polskiem północno amerykańskiem nie powinnoby poprzestawać na wystawie Lwowskiej. Nadesłane okazy zamiast żeby były zniszczone lub opłacały kosztowny nieco powrót przez ocean, mogłyby w dalszym ciągu doskonale spoczywać na widoku publicznym w ręku instytucyi specyalnie stworzonej dla przechowania wszelkich źródeł wiadomości polskich, w Zakładzie Narodowym imienia Ossolińskich. Przypuszczamy też, że ofiarowanie jednego okazu więcej pisma swego nie uczyni wielkiej różnicy żadnej redakcyi; przeto może nie zawadziłoby równocześnie wyposażać Bibliotekę polską i Muzeum polskie w Chicago z wszystkiemi dotychczasowymi pismami i drukami amerykańskiemi polskiemi. Niezawodnie też na wystawie Lwowskiej znajdzie się niejedno, co zwiedzający ją bracia z za morza uznają za stosowne zabrać dla swoich zbiorów. Wymiana wzajemna duchowa i materyalna może objemie zakres, którego nikt przewidzieć nie może. Łączność może wydać siłę niemożliwą do obrachowania w tej chwili.

Braci naszych zamorskich chcielibyśmy zachęcić do przyczynienia do tych wielkich korzyści dla ogółu polskiego.

Pierwszy zaś warunek łączności jest wzajemne poznanie się, a co najmniej dowiedzenie się o wzajemnem istnieniu. Przeto ośmielamy się zwrócić do szanownych kolegów naszych z za morza, aby dali o sobie znać naszemu ogółowi polskiemu w „starym kraju" w powyższy jasny i uchwytny sposób.

Compania Metropolitana w Brazylii.

Rząd Brazylijski w dniu 2. sierpnia 1892 r. podpisał ważną umowę z Towarzystwem „Compania Metropolitana" mającem swą siedzibę w Rio de Janeiro. Towarzystwo to podejmuje się wykonania umowy mieszczącej w sobie wszystkie inne poprzednie, pozawierane przez rząd z innemi towarzystwami i osobami prywatnemi w sprawie kolonizacyi w Brazylii. Wszystkie zobowiązania schodzą się w jedno główne: sprowadzić do Brazylii w ciągu 10 lat od 1. stycznia 1893 milion ludzi, a to rocznie nie mniej 50.000 a nie więcej 100.000; liczba ostatnia będzie mogła być podniesiona do 150.000 w razie uprzedzenia rządu 4 miesiące przedtem.

Nieżonaci są wykluczeni. Małżonkowie bezdzietni nie mogą być starsi ponad 45 lat, dzietni wyżej 50 lat Wszyscy powinni być zdolni do pracy; żebracy, nędzarze, ludzie niemoralnego prowadzenia i zbrodniarze nie będą przyjmowani i wracani do kraju ojczystego na koszt „Kompanii" w ciągu 30 dni po przybyciu do Brazylii.

Umowa zawiera bardzo szczegółowe ustępy dotyczące ochrony wychodźcy podczas jego podróży morskiej. Statki poddane mają być rządowemu nadzorowi, wykonywanemu przez lekarzy; wygoda i warunki hygieniczne wszelkie m. i. dobre i obfite pożywienie postawione są w pierwszym rzędzie rzeczy wymaganych od „Kompanii". Jeden lekarz winien się znajdować dla każdych 100 wychodźców; niemniej każdy statek ma być zaopatrzony w aptekę i narzędzia chirurgiczne. Rzeczy emigrantów muszą być zabrane na ten statek, którym sami podróż odbywają; każdy wsiadając otrzymuje recepis rzeczy swych, poświadczony przez konsula brazylijskiego portu europejskiego.

Rząd brazylijski zachęcą „Kompanię" do przewozu emigrantów ofiarując za każdego dość wysokie wynagrodzenie (premię). Zdaje się, że wynosi ono co najmniej 120 franków, a oprócz tego 100 000 franków za uskutecznione przewiezienie 10.000 wychodźców; minimum więc 130 franków za każdego wychodźcę. Takie wynagrodzenie ofiarowano każdemu towarzystwu przewozowemu dekretem Nr. 528 z d. 28. czerwca 1890 r. i zdaje się, że zupełnie to samo, jeżeli nie więcej, pozostało zawarowane w umowie z 2. sierpnia 1892 r. między rządem a „Compania Metropolitana". Ugoda ta zewnętrzna między stronami nas mniej zajmuje i ma pewnie jakieś punkta, które na jaw może nie wychodzą i nie wyjdą. Ważniejszym jest ustęp, w którym widać pewne usiłowanie ochrony wychodźcy przed małymi pośrednikami i ajentami.

Towarzystwo „Compania Metropolitana“ może wtedy tylko podnieść należne jej za każdego emigranta wynagrodzenie, jeżeli przedstawi urzędowe i należnemi formalnościami zaopatrzone oświadczenie (deklaracyę), podpisane przez konsula brazylijskiego z portu odjazdu ouropejskiego, że wychodźca nikomu nic nie zapłacił pod jakimbądź pozorem, wsiadając na statek. Wychodźcy są wszyscy ujęci w spisie podpisanym przez konsula brazylijskiego, a zawierającym ich nazwiska, imiona, wyznanie, narodowość, a raczej przynależność do pewnego państwa, wiek, stan cywilny, powołanie (profesyę) i stopień pokrewieństwa pomiędzy ludźmi zapisanymi do jednej rodziny. Dotychczasowa praktyka wobec zakazu przyjmowania ludzi nieżonatych, jest pełna nadużyć: przy wsiadaniu zapisywani są nieżonaci do rodzin obcych i zawierają dopiero na statku z nimi znajomość. Praktyka ta niezawodnie nadal będzie się odbywała, bo nic nie może stanąć jej na zawadzie — zresztą nie jest tak bardzo szkodliwą.

Wychodźca może wylądować w 4 portach: Pernambuco (Recife), Victoria, Rio de Janeiro i Santos. Po przybyciu, przez kilka dni aż znajdzie umieszczenie, ma on zapewnione przyzwoite utrzymanie i pomoc lekarską; darmo przewożą jego samego i rzeczy jego do tego miejsca, gdzie sobie życzy osiąść.

Jest to bardzo ważny ustęp kontraktu, zgodny zresztą ze wszystkiemi przyrzeczeniami krajów przyciągających wychodźctwo; wszędzie bowiem te rządy i stowarzyszenia, upoważnione przez nie, zobowiązują się dostawić emigranta tam, gdzie sobie tego życzy; inaczej byłaby to straszna samowola w rozporządzaniu ludźmi. Dla naszych wychodźców, którzy właściwie tylko w stanie Parana i sąsiednich na wysokiem płaskowzgórzu tamtejszem wytrzymują klimat brazylijski, najodpowiedniejszy byłby port Paranagua, a jeżeli nie, to w pobliżu port Santos.

Uwagi godnem jest, że Kompania zobowiązuje się sprowadzić 90% rolników, a tylko 10% rękodzielników i innych. Wskazywałoby to na rzetelną chęć zaludnienia kraju, a nie na chwilowe uzyskanie robotnika do plantacyi kawy i bawełny; piekąca zaś potrzeba plantatorów, po zniesieniu niewolnictwa murzynów, wymagałaby bezwarunkowo przedewszystkiem robotników, a nie rolników osiadłych na własnych gruntach. Rozporządzenie to o 90% rolników byłoby w sprzeczności więc z interesem najwpływowszych kapitalistów brazylijskich, jakimi są niewątpliwie plantatorowie kawy. Trzeba zatem wyczekiwać bliższych wiadomości, czy może pod mianem „rolników“ nie zechcianoby uważać robotników do uprawy kawy i bawełny. Niebezpieczeństwo nie istniałoby dla tego, który przybywszy wiedziałby czego chce, a czego nie chce t. j. który dopominałby się jasno osiąść na roli w klimacie zdrowym i stosownym dla niego n. p. w Paranie a stanowczo odepchnąłby propozycyę pracowania na „kawie“. Lecz może nie wszyscy nasi będą mieli tę świadomość i w niepewności obiorą sobie właśnie los najgorszy. Niebezpieczeństwo jest tem większe, że tendencya rządu, „Kompanii“ i wszystkich czynników brazylijskich jest właśnie zaludnienie prowincyi cieplejszych koło Amazonki, nieodpowiednich dla ludu północnej Europy. Przeciwko tym usiłowaniom trzeba będzie się ewentualnie bronić i niezawodnie jest możność bronienia się skutecznie.

Podnieść też należy, że „Kompania“ zobowiązuje się przewozić ludzi różnej narodowości; z jednej narodowości nie może być przewiezionych jednostek więcej niż 60%. Ten ustęp umowy nas prawie zupełnie nie dotyczy z dwóch względów. Najpierw niepodobna przypuścić, żeby corocznie nie przybywało choćby tylko 40% Włochów (przybywa ich do Brazylii z jakie 100 000 — 200.000 w ostatnich latach) nie licząc Portugalczyków i Hiszpanów.

Następnie w razie, nie tak bardzo prawdopodobnym, uregulowania w ciągu paru lat naszego prądu wychodźczego i okazania się jawnego, że w naszym interesie byłoby umieścić naszych wychodźców więcej niż 90% ogólnej ich liczby, to przecież zawsze urzędownie podzieleni będziemy na narodowości: rosyjską niemiecką i austryacką. Liczba emigrantów tych „trzech narodowości“ polskich mogłaby ewentualnie przenosić 90% ogólnej ich liczby, bez tego żeby z osobna każda z nich dostarczała tej wysokiej liczby. Formie powierzchownej stałoby się zadość. Na miejscu samem po osiedleniu się nie byłoby najmniejszej potrzeby dalszego uznawania rozbioru.

Wstępujący na ziemię brazylijską rolnik może zakupić dział (lot) nie mniejszy 15 hektarów, o ile to ziemia dziewicza, lecz zaopatrzona w lasy i wodę, a nie mniejszy 5 hektarów, jeżeli przynajmniej połowa ($2\frac{1}{2}$ hektara) jest już w pewnej uprawie. Wszystkie działy sprzedane kolonistom mają drogę łączącą je ze sobą lub z jakim wielkim traktem komunikacyjnym n. p. koleją lub żeglugą rzeczną, albo morską; taka wielka arterya komunikacyjna, jeżeli jeszcze nie istnieje, winna być przynajmniej zaprojektowaną i kroki pewne ku jej otworzeniu przedsięwzięte. Każdy dział winien być zaopatrzony w domek tymczasowy, postawiony wedle wzoru rządowego, lub co najmniej potwierdzonego przez rząd. Cena, po której nowonabywca z Europy działy te ma dostać, nie jest zbyt niską jak na stosunki amerykańskie; albowiem wynosi 25.000 rejsów czyli 25 milrejsów (1 milrejs jest wart mniej więcej 1 zł. = 2 marki) jeżeli ziemia jest dziewicza, a 50 milrejsów jeżeli już jest nieco uprawiona. Ale za to zapłata jest bardzo dogodna; pierwsza rata tej spłaty przypada dopiero w 2. roku, a ostatnia przeciągnąć się może do lat 10. Na samym początku gospodarstwa emigrant otrzymuje jako zaliczkę narzędzia rolnicze, zboże na zasiew i wszystko co mu jest potrzebne do uprawy, a niemniej też, jeżeli nie posiada żadnych funduszów osobistych, daną mu jest możność zarabiania przy robotach rządowych około kolonii i przedsiębiorstw komunikacyjnych jak: przy budowaniu domów dla przybywających nowych immigrantów, budowaniu dróg, karczowaniu lasów i t. d.

Widocznie, aby nie być posądzanym że, ściągając rolników i rękodzielników z Europy, tworzy dla nich pułapkę bez wyjścia, rząd brazylijski posuwa się w swej szczodrobliwości dalej niż jakie bądź znane nam dotąd kraje nowe, potrzebujące przybytku immigracyjnego ludności; zapewnia bowiem powrót do kraju ojczystego na swój koszt wdowom i sierotom, które straciły mężów i rodziców w pierwszym roku swego przybycia do Brazylii, tudzież tym, którzy w tymże pierwszym roku stali się niezdolni do pracy skutkiem wypadku przy robocie. Wszystkim tym po-

wracającym do kraju rząd brazylijski jeszcze obiecuje ewentualnie dawać zasiłek od 50 do 150 milrejsów na drogę.

Wedle dekretu z 28. sierpnia 1890 roku (art. 31—36), którego żadne ustępy, ułatwiające osiedlenie się w Brazylii, nie zostały zniesione w umowie z 2. sierpnia 1892 r., ci, którzy nabywają ziemię w większej ilości tj. pojedynczy właściciele i przedsiębiorstwa kolonizacyjne, podzieleni są na 3 kategorye. Pierwsza kategorya tj. tych, którzy umieszczają co najmniej 30 rodzin, otrzymuje wynagrodzenia 200 milrejsów na każdą sprowadzoną rodziną, a 250 milrejsów na wybudowanie dla każdej domu. Druga kategorya t. j. tych, którzy umieszczają u siebie minimum 200 rodzin, otrzymuje, oprócz korzyści udzielonych kategoryi 1, 500 milrejsów za wybudowanie każdego kilometra potrzebnej drogi łączącej kolonię z ważniejszym rynkiem zbytu. Trzecia kategorya t. j. właścicieli i przedsiębiorstw największych, sprowadzających co najmniej 500 rodzin rolników, otrzymuje, oprócz korzyści dwóch pierwszych kategoryi, 800 milrejsów za wybudowanie kilometra potrzebnej drogi i pozwolenie (koncesyę) na osadzenie w ziemiach rządowych podwójnej liczby immigrantów, sprowadzonych już poprzednio przez rząd.

Tak się w ogólnych zarysach przedstawia obecnie od r. 1893 sprawa kolonizacyjna brazylijska na papierze. Rzeczywistość pouczy nas niezadługo jakie będzie wykonanie tych niezawodnie rozumnych i ludzkich postanowień. Wiele z tychże już znajdowało się w dekrecie z 30. czerwca 1890 i mimo to, nie przeszkodziły one nieszczęściom i zawodom zwłaszcza naszych wychodźców. Że tak się stało niestety, wina jest w tem dwojaka — rządu brazylijskiego i nasza. Rząd brazylijski źle się obliczył ze swemi środkami i nieprzewidział przybycia tak wielkiej ilości emigrantów zwłaszcza obcego i mało znanego języka i rasy. Aby przyjąć emigrantów po ludzku i zaludnić nimi swój kraj, nie dosyć jest dać im ziemi do woli; jestto bardzo wiele, jeżeli kto nią może szafować jak Brazylia i wszystkie kraje młode i niezaludnione. Lecz oprócz tego trzeba umożebnić i upewnić istnienie ich, a to się nie obywa bez znacznych kosztów, zwłaszcza w początkach ich osiedlenia, kosztów na odmierzanie gruntów, wybudowanie domów, na narzędzia i zasiewy, na potworzenie komunikacyi, na zarobki i t. d. na utworzenie, jednem słowem, warunków wygodnej egzystencyi dla kroci tysięcy ludzi. Wydatki potrzebne na ich osadzenie czyli kolonizowanie przerosły w 1890 roku możność finansową młodej Rzeczypospolitej. Przytem w kraju, wielkim jak Europa, a zaludnionym przez 11 milionów tj. przez ludność mniejszą od podwójnej galicyjskiej, wykonanie rozporządzeń władzy ze stolicy Rio de Janeiro musiało być często na łasce i niełasce miejscowych i podrzędnych urzędników, nie zorganizowanych w żadną, zbyt jednolitą, maszynę. By stworzyć taki wzorowy aparat administracyjny trzeba całego szeregu lat, trzeba wychować całą generacyę w tym kierunku i dlatego jeszcze w bieżącym 1893 r. i 10 następnych latach niezawodnie między pięknymi artykułami umowy rządu brazylijskiege z „Kompanią“ mnóstwo szkodników potrafi przejeżdżać 4ma końmi i ciężkim wozem swych niegodziwości bez zawadzenia o żadne z nich.

Z drugiej strony winę za nieszczęścia naszych wychodźców w Brazylii i gdzieindziej ponosi nie kto inny jeno społeczeństwo nasze, z którego ci nieszczęśni wyszli Albowiem czy ono, a raczej my inteligencya uczyniliśmy cokolwiek dla nich? Nie jest rzeczą pisma naszego krytykować kogo należy za to, że tak wiele braci naszych opuszcza ziemię rodzinną z powodu, że na niej nieznajduje dostatecznych środków utrzymania. Krytyka sięgałaby daleko w przeszłość, a głęboko w obecne stosunki społeczne i polityczne. Pozwolimy sobie tylko zauważyć, że przez 30 lat nie spostrzegliśmy rocznego ubytku ludzi naszych przez emigracyę, ubytku dochodzącego do kilku dziesiątków tysięcy. My intelligencya i czoło narodu zauważyliśmy dopiero w ostatnich chwilach coś z tego prądu. Jeszcze 1890 r. „gorączka emigracyjna“ brazylijska zaskoczyła nas jak dzieci bezradnych. O kraju, dokąd dążyły tłumy włościan i rzemieślników polskich, nie wiedzieliśmy zgoła nic. Nie można się dziwić, że pouczanie „ciemnych mas“, porwanych szałem emigracyjnym, musi komicznie wyglądać; bo pouczający daleko mniej wiedział i przeważnie dotąd jeszcze o wiele mniej wie od pouczanego; albowiem po prostu nie podobna być większym ignorantem od niego. Pouczany zaś zwykle coś zasłyszał a nawet często dokładne ma informacye tajne od krewnych i przyjaciół z zaoceanu, jedną rzecz zaś, często zupełnie niezbadaną przez pouczającego, zna dokładnie tj. nędzę doskwierającą mu .... uczył Piotr Marcina....

Teraz tj. w 1893 r. po 30 latach może przynajmniej coś wiemy. Byli ludzie z inteligencyi na miejscu osiedlania się żywiołu naszego; rozsiali nieco wiadomości o zamorszczyźnie polskiej, pozawiązywane zostały jakieś stosunki, prasa nasza, milcząca dotąd o ruchu naszym wychodźczym, zaczyna milczenie to przerywać. Jeszcze jednak daleko do organizacyi i roztoczenia prawdziwej opieki nad dziesiątkami tysięcy naszych emigrantów. Prawdopodobnie trzeba będzie jeszcze, żeby z jakie 100.000 zmarniało w ostatniej nędzy podczas podróży; ale teraz jest nadzieja, że fakt taki nie przeminie zupełnie cicho. Coś się będzie o tem prawdopodobnie w dziennikach pisało rzewnego i oby piura piszących potrafiły nieco wzruszyć i zagrzać ich do rozumnego jakiego czynu organizacyjnego!

Rozumnym czynem jednak nie będzie proste odradzanie i straszenie okropnościami podróży i „piekłem“ brazylijskiem. Chłop wprawdzie nie ma uniwersyteckiego wykształcenia, ale nie jest dzieckiem i w sprawach praktycznych posiada często bystrość niedościgłą. Pamiętajmy o fakcie niezawodnym a smutnym, o niesłychanej i dzikiej nieufności jego do ludzi sfer wyższych. Zasłużyliśmy może na nią. Ufność jego zdobyć można tylko przedstawieniem **prawdziwego** stanu rzeczy, o ile się go zna, co należy jeszcze do rzeczy rzadkich... przyznajemy to sobie... nawet w obrębie wioski, w której życie całe spędziliśmy. Do tej ufności jest klucz jedyny i łatwy do uzyskania: szczerość.

Mówmy im prawdę i nie pouczajmy o rzeczach, które chłop lepiej zna od nas. Nie starajmy się zamknąć prądowi wychodźczemu drogę mechanicznie; — szkodliwa to i po największej części daremna będzie praca. W ten sposób właśnie wywołamy gorączkę i stworzymy pole popisu dla tajnego werbunku; wy-

chodźca, zrażony do inteligencyi, której nie może wierzyć, bo widzi że ona mniej wie od niego, odda się bezbronny na pastwę naganiaczom, byle tylko władza go nie odkryła. Jedyna droga przeszkadzania wychodźctwu jest ta, na którą wstąpiły Towarzystwo ochrony ziemi w Wadowicach (parcelacya) usiłowania w kierunku podnoszenia rolnictwa i przemysłu i w ogóle poprawy społecznej. Przytem baczniej należałoby zaznajomić się ze sprawą wychodźczo kolonialną, zwłaszcza jeżeli prawdą jest, że w Brazylii mają oczy zwrócone na Galicyą tak jak przed 2ma laty miano na Kongresówkę. Że tak jest istotnie, nie byłoby nic dziwnego i nie trzeba w tym względzie dać się w błąd wprowadzić narzekaniami Brazylianów na żywioł polski (zob. Nr. 10. z 15. listopada 1892 „Przeglądu emigracyjnego“ i broszurę p. Anna Nery : l'Emigration).

Pomimo twierdzeń, że złe doświadczenie zrobiono z Polakami w Brazylii, wiedzą tam doskonale, że nie ma lepszych kolonistów od nas przy korczowaniu lasów dziewiczych. Południowa Ameryka zasługuje na tem większą uwagę naszą obecnie, że wędrówka do północnej Ameryki prawdopodobnie będzie w przyszłości coraz więcej utrudnioną. Ujście ludności naszej w większej masie ku południowi jest prawdopodobne. Starać się trzeba, aby ono nie odbywało się gorączkowo i bezmyślnie, lecz żeby niem kierowała myśl humanitarna i patryotyczna polska. Przeszkody stawiane przez rządy i społeczeństwo będą siłami, przez które tem gwałtowniej prąd może popłynąć, bo „ciemny chłop“ nie da się przekonać przez inteligentnika, w tej sprawie jeszcze ciemniejszego od niego i na rzucającego mu swoją wolę jak dziecku. Środki zaś państwowe nie mogą dokonać wszystkiego. Do znudzenia musimy więc powtarzać wciąż o konieczności organizacyi wychodźctwa. Pojmujemy ją przedewszystkiem jako wywiadywanie się, a więc proponowalibyśmy tworzenie biur wywiadowczych; po tej drodze dojdziemy do założenia towarzystw ochronnych wychodźczych, emigracyjno kolonizacyjnych i t p. — Wiemy już o kilku wcale dobrze pomyślanych i śmiałych przedsięwzięciach w tym duchu, które pewnie urzeczywistnią się niebawem. Naszą rzeczą zawsze będzie pobudzanie dodatniej inicyatywy społecznej, bez odtrącania pomocy państwowej, która znakomicie może wesprzeć prywatne początkowanie społeczne; lecz nie zawsze to czyni z ochotą, z lepszem i z wyższem rozumieniem własnego dobra. Wyjątkowo tylko podejmuje ono sprawę emigracyjno kolonizacyjną w swoje ręce w duchu rzetelnego pomagania jej. Nie rozpaczamy wprawdzie o zmianie na lepsze usposobienia sfer prawodawczych; lecz nim ona nastąpi, społeczeństwo samo najpierw musi zacząć myśleć o swej ochronie, a potem dopiero znajdzie się pomoc pożądana z góry. Rzadko kiedy przychodzi ona wpierw, Początek poparcia przedewszystkiem jest w tem, żeby nieprzeszkadzać dobrej sprawie.

Rezultat podróży Dra Dunikowskiego.

Dnia 21. grudnia obyło się we Lwowie zgromadzenie posłów do Sejmu i do Rady państwa, z których grona i polecenia prof. Dr. Dunikowski badał przed kilku miesiącami stosunki polskie w Ameryce. Przedewszystkiem komitet się ukonstytuował, wybierając stałym prezesem ks. Adama Sapiehę, wiceprezesem hr. Mieczysława Reya, sekretarzem Dra Dunikowskiego.

Następnie z wielkiem zajęciem przysłuchiwano się sprawozdaniu Dra Dunikowskiego z jego podróży; wreszcie przystąpiono do dyskusyi nad wnioskami delegata.

Jakkolwiek ostateczna decyzya w tej mierze zapadnie dopiero podczas zebrania się Sejmu galicyjskiego i sprawy roztrząsane nie nadają się jeszcze do szczegółowej publikacyi, to przecież jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu podać niektóre momenty tych tak bardzo nas obchodzących rozpraw.

1. W najbliższej przyszłości założy się w Chicago internat polski ze szkołą średnią, rodzaj małego seminaryum celem wychowania w duchu patryotycznym i katolickim tęgich kandydatów do stanu duchownego. Wychowańcy tegoż otrzymają gruntowne wykształcenie, aby się mogli udać następnie na kursa teologiczne Zgromadzenie przyjęło z radością do wiadomości oświadczenie hr. Reya, *że już rozporządza na ten cel sumą półtora miliona franków.*

2. Założenie organizacyi, którąby łączyła zarówno Zjednoczenie, jak też i Związek, jak też w ogóle wszystkie towarzystwa polskie z krajem. Celem organizacyi będzie tylko pielęgnowanie polskiego ducha narodowego i staranie się o podniesienie poziomu oświaty.

3. Zaopatrywanie czytelni polskich w Ameryce w książki i rozszerzanie instytucyi Macierzy Polskiej na Amerykę.

4. Założenie polskiego Towarzystwa ubezpieczeń i Polskiego Banku w Ameryce.

5. Urządzenie racyonalnej kolonizacyi, celem odciągnięcia wychodźców od zbytniego natłoku do miast, wytwarzającego tylko proletaryat.

6. Staranie się u Stolicy Apostolskiej o większe uwzględnienie potrzeb kościoła polskiego, a przedewszystkiem o mianowanie choć jednego Polaka Biskupem terytoryalnym w Ameryce.

„Gazeta Katolicka“ w Chicago. z 12. stycznia 1893. r.

Wiadomości naukowe z Paryża i Francyi.

Rok nowy 1893 dobrze się zaczyna dla nas, bo dekretem swoim z 1. stycznia ostatniego Prezydent Rzeczypospolitej francuskiej mianował pana Jana Dybowskiego kawalerem Legii honorowej — Ta nagroda zasłużona ma swoje wielkie znaczenie, bo w końcu roku zeszłego tenże nasz uczony rodak, który był tylko kawalerem orderu zasługi Agronomicznej, został mianowany jakeśmy to już donieśli dawniej, oficerem tegoż orderu. Wszelako żałujemy, że znakomita wystawa przedmiotów przez niego do Paryża przywiezionych, zostanie w tej stolicy i będzie tamże rozdzieloną na trzy części — z których jedna tj. antropologiczna bądzie przeniesiona do gmachu zwanego *Trocadero.* Druga zostanie w zbiorach historyi naturalnej, *w Jardin des plantes;* a zaś trzecia sformowana z przedmiotów mających znaczenie w handlu, stanie się własnością nowo zakładającego się Muzeum handlowego w Paryżu — Co do nas wolelibyśmy, żeby ten zbiór mógł był pozostać jeszcze

w całości, i żeby pan Dybowski mógł był otrzymać tytuł delegata Rządu francuskiego na wystawie światowej w Chicago, dla okazania tamże swego muzeum, dla opowiadania swoich podróży, coby było bardzo użytecznem i miłem dla Amerykanów, a zwłaszcza dla naszych rodaków którzy w tak wielkiej liczbie zamieszkują miasto, gdzie będzie owa wielka wystawa oraz przyległe prowincye Zjednoczonych Stanów. — Nie mogąc albo nie chcąc przedsiębrać tej wielkiej podróży, donoszą nam, że pan Jan Dybowski w tych dniach przebiega miasta północnej Francyi, i daje tamże swoje konferencye i że zapewne później zwiedzi także ważniejsze punkta południowej Francyi, gdzie zapewne bardzo dobrze przyjętym będzie dla swych zasług, swojej wymowy i protekcyi widocznej jaką go zaszczyca Rrząd Rzeczypospolitej francuskiej, który pozwala oficerom armii terytorialnej być obecnym w mundurach na konferencyach pana Dybowskiego, co się zazwyczaj nie dzieje, i co pochodzi zapewne z tego, że te konferencye są uważane jako prawdziwe lekcye odwagi i patryotyzmu, jakich nasz podróżnik dał dowód oczywisty między Arabami kraju Wadai.

W tymże samym czasie gazeta urzędowa paryska zawiadomiła nas, że inny nasz rodak i także syn emigranta z 31 roku, Pan Adam Sienkiewicz uczynił swoje wizyty pożegnalne panu Carnot, prezydentowi Rzeczypospolitej francuskiej i panu Goblet, ministrowi spraw zagranicznych, opuszczając Paryż dla powrócenia do Japonii, gdzie już od lat kilku zajmuje zaszczytnie miejsce ministra pełnomocnego Francyi przy rządzie Japońskiego *Micada*. — Czytając tę wiadomość przypomnieliśmy sobie, że w młodości naszej w roku 1822 czy w 1824 czytaliśmy z wielkiem zajęciem podróż do Japonii, napisaną przez jakiegoś p. Sękowskiego, który nauczywszy się dobrze kilka języków wschodnich w Petersburgu, otrzymał jakąś małą posadę przy ambasadzie Rosyjskiej w Jeddo za panowania Aleksandra I. Rzuciliśmy także okiem z tej okazyi na książkę, którą mamy w naszej bibliotece, o życiu i śmierci męczęńskiej Alberta Mencińskiego Jezuity, który tę śmierć poniósł za wiarę, w Japonii dnia 23. marca 1643 roku. — I wzbierając te wspomnienia pomyśleliśmy; co za zmiany losów! któżby wtedy mógł przewidywać, że w tejże samej Japonii pod koniec XIXgo wieku uczony polak, syn znakomitego historyka naszego, będzie przedstawicielem Francyi, najoświeceńszego kraju w Europie! —

Przenosząc się nagle do Afryki, widzimy ślady naszych Polaków. Przegląd kolonii afrykańskich francuskich, zawiadamia nas, że gdy przybyła do Algieru wielka ambasada *Touaregów*, to jest mieszkańców Sahary, aby zawiadomić Rządcę francuskiego o uczuciach przyjacielskich tych pokoleń dla Francyi, tłumaczem Szefa tej ambasady był polak pan Motyliński, dawny wojak z Legii cudzoziemskiej, który oddał, jak wiadomo, wielkie usługi Francyi w Algierii i gdzie indziej. — I lekarze polscy praktykujący we Francyi, są także wszędzie gotowi na pomoc cierpiącej ludności. I tak, gdy dnia 1. stycznia ostatniego zdarzył się straszny wypadek wykolejenia pociągu na żelaznej drodze z miasta *Castry* do *Montauban*, między pierwszemi lekarzami i chirurgami, którzy przybyli na miejsce dla ratunku, był także rodak nasz doktor Pergłowski który od lat wielu, mieszkając w tej okolicy, zjednał sobie ogólne zaufanie i szacunek, jako biegły lekarz i prawdziwy filantrop.

Cahors 12. stycznia 1893.

J. Malinowski.

Polacy w Australii.

W opinii przeciętnego czytelnika pojęcie Australii i złota jest tak silnie spojone, iż wspomniawszy w poprzednich mych listach o Australii w ogóle, jest prawie niepodobna ominąć złota.

Wspomnienie to tem więcej dla czytelników interesującem się okaże, że zupełnie tak samo jak w kraju tak i w opinii wielu tutaj zamieszkałych Polaków, być w Australii, a nie spróbować szczęścia w kopalniach złota jest, jakby być w Rzymie i nie widzieć papieża

Kopanie złota jest w Australii jedynem polem, na którem większa ilość Polaków się zgromadziła, i na którem brać nasza odznaczyła się energią i wytrwałością.

Przechodząc z miejsca na miejsce, prowadząc życie koczownicze jak wszyscy kopacze złota, przez miesiące, a nieraz lata całe nie mając innego dachu nad sobą prócz płótna namiotu — wielu z nich sporą część życia zużyło na szukaniu złota nadaremnie. — Niektórzy natrafiwszy na nieco więcej sprzyjające okoliczności, zdołali zdobyć sobie jeżeli nie złoto, to przynajmniej uznanie wielu swej pracy i energii; większość jednakowoż, wpadłszy raz w koryto ciężkiej mozolnej i bezowocnej pracy, nigdy już powstać nie mogła i, jakkolwiek wielu z nich w różnych czasach uśmiechu fortuny zaznali, zaznaczyć jednak ściśle muszę, że ani jednego nie ma, któryby jakąś znaczniejszą fortunę posiadał.

Jednym, którego imię znalazło piękne wspomnienie w historyi odkryć i literatury Australii jest Strzelecki, który obok wielu innych zasług położonych dla tutejszej ziemi był pierwszym znalazcą złota, jakkolwiek to odkrzycie urzędownie komu innemu niedawno przyznano.

Strzelecki zajmował tutaj stanowisko narodowego miernika i był zawsze znany jako entuzyasta-geolog. Mierząc obszary kolonii i wędrując po całym kraju, nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż miał wiele sposobności do studyowania geologicznych pokładów lądu tutejszego, które do dziś dnia jeszcze wiele ciekawych tajemnic przedstawiają.

W zapiskach urzędowych zajmuje on niepoślednie miejsce jako odkrywca i badacz. Góra „Kościuszko“, najwyższy szczyt w pasmie gór „Niebieskich“, oraz góry „Strzelecki“ są pięknym i wieczystym dowodem zasług i odkryć jego, obok kilku rzek, których odkrycie również jemu przyznają.

W oczach wielu, badanie Australii pozbawionej tych wszystkich niebezpieczeństw, w jakie np. centralna Afryka obfituje, zdaje się nie być wielką zasługą. Zważywszy jednak olbrzymie obszary ziemi, a nadewszystko absolutny w niektórych miejscowościach brak wody i olbrzymią trudność znalezienia żywności, odkrycia tutaj czynione nie posiadają ani na jotę mniej zasług aniżeli wszelkie inne, a raczej na innych lądach czynione. Badając pokłady ziemi, było rzeczą zupełnie naturalną, iż Strzelecki na złoto trafił, którego olbrzymie pokłady po całym kraju rozrzucone były, a do pewnego stopnia do dziś dnia jeszcze są. Że imię jego jednak, jako pierwszego odkrywcy złota dziś nie figuruje, przypisać należy tylko ujemnym warunkom, w jakich odkrycie to nastąpiło.

Strzelecki, znalazłszy złoto w zupełnie prywatny sposób, odkrycie to wyjawił, wyłączając je tym sposobem zupełnie z archiwów górniczych, przechodząc tylko do notat historycznych. Odkrycie to nastąpiło około roku 1840. Kolonia tutejsza była zaludnioną nadzwyczaj słabo, składając się z wielu konwiktów, urzędników i nieco śmielszych emigrantów.

Społeczeństwo to, choć małe, przedstawiało znaczne trudności w utrzymaniu ogólnego porządku. — Gdy Strzelecki przyniósł wiadomość o znalezieniu złota, gubernator ówczesny obawiając się, iż z chwilą gdy wiadomość ta rozgłosi się, najsurowsza dyscyplina nie byłaby wstanie powstrzymać ani urzędników, ani żołnierzy od zapału do poszukiwania złota — przyjął wiadomość tę z wielką obawą i w celu zapewnienia sobie spokoju, wyjednał na Strzeleckim trzymanie tego odkrycia w sekrecie, ofiarując mu w imieniu rządu pewną pieniężną kompesatę za to.

Strzelecki musiał nie bardzo wierzyć, iż złoto istotnie w wielkiej ilości znajdować się może, gdyż na wszystko przystał, rzucając odkrycie to tym sposobem w zupełne zapomnienie

Jest on również znany w literaturze tutejszej jako pierwszy, który pokłady gór na wyspie Tasmanii dokładnie opisał i w każdej prawie kolonii tutejszej, czyniąc jakieś odkrycia lub studya, imię swoje chwalebnie zaznaczył. On również był pierwszym dowodzącym, iż srebro w pokładach wzgórz tutejszych znajdować się może i radził rządowi rozpoczęcie poszukiwania kruszcu tego. Przez długi czas zaniedbywano tę radę i dopiero gdy niedawno odkrycie srebra przypadkowo zrobiono, przypomniano ją sobie. Dziś „Broken Hill“ jest uważaną za jedną z największych kopalni srebra, dającą miliony dochodów rocznie. Jakkolwiek znajdując się w rękach bezskrupulatnych kapitalistów, nie daje ona ludności tutejszej wielkich korzyści, jest ona jednak jaskrawym dowodem prawdziwości dowodzeń naszego rodaka. Rok 1851 był świadkiem powtórnego odkrycia złota stając się epoką rzeczywistego rozwoju i postępu Australii. Tym razem jeden z zawiedzionych kalifornijskich kopaczów był szczęśliwym znalazcą.

W roku poprzednim parlament tutejszy uchwalił 10.000 szterlingów tytułem nagrody dla odkrywcy. Gdyby nie pewne nieformalności, popełnione przez Strzeleckiego, suma ta niezawodnie przypadłaby na spadkobierców jego.

Kolonia New South Wales posiada dzisiaj największe kopalnie srebra, wydobywając go rocznie przeszło za 12 milionów szterlingów.

Kopalnictwo srebra jest połączone z większemi trudnościami, wymagając maszyneryi. a tem samem znacznych nakładów. Ztąd pochodzi, iż pojedynczy kopacz, mając za cały majątek łopatę, kilof i namiot, nie bierze się wcale do poszukiwania jego, przekładając złoto w aluwialnych napływach, jako przedstawiające największą łatwość wydobywania i taniość. Koszt wydobycia i przetopienia jednej tony rudy srebra wynosi koło 30 szylingów, wymagając specyalnych pieców i wielu innych urządzeń. Najważniejszą pracą tutaj jest topienie. Operacya ta wymaga wielkiej wprawy i baczności; w przeciwnym razie bowiem znaczna część srebra kominem wyrzuconą zostaje. Za jednego z najlepszych specyalistów w tym kierunku jest uważany rodak nasz *Janicki*. Jest on doświadczonym expertem rozrywanym przez kompanje i, ile razy zachodzi wątpliwość, czy topienie prawidłowo się odbywa dla dania opinii wzywanym bywa.

Złoto jednak jest główną attrakcyą dla wielu, przyciągając ogromną masę ludności, z których każdy ma zamiar zrobić fortunę, a rzadko który koszta bieżące opłacić może. Po wybraniu prawie 3 000 ton złota od czasu odkrycia jego, nic dziwnego że dzisiaj poszukiwania robione przez pojedynczych „diggerów“ rzadko kiedy dobrym rezultatem wieńczone bywają.

New South Wales posiada oficyalnie zapisanych, mniejszych lub większych 96 kopalń; pomimo iż kopalnictwo jest jedną z poważniejszych gałęzi miejscowego przemysłu, zajmując stale dziesiątki tysięcy ludności, rzadko kiedy słyszy się o szczęśliwem indywiduum znajdującym większą ilość złota. Od początku do dnia dzisiejszego tylko bogate kompanje robiły i robią znaczne interesa na kopalnictwie, odsuwając tak skutecznie pojedynczych „diggerów“, iż dzisiaj profesyonalny kopacz jest czemś zupełnie trudnem do spotkania.

System rządowy, dający z zasady wszelkim kompanjom i syndykatom kapitalistycznym największe poparcie i prawa, jest odpowiedzialnym za to, że Australia mając istotne prawa do zaliczania się do najbogatszych krajów na kuli ziemskiej, jest w równieź a może nawet w więcej opłakanych warunkach finansowych aniżeli wiele innych, które nie mają i nigdy nie miały tak olbrzymich naturalnych bogact.

Złoto w aluwialnych napływach znajduje się w różnych warunkach i w najrozmaitszych postacyach. Najczęściej jednak znajdowanem bywa w mnieszych lub większych bryłkach, rozmiary których bardzo różnią się, dochodząc czasami do zdumiewającej wielkości. Jedna z takich brył. zwanych powszechnie „nugget“ znaleziona lat temu kilkanaście przechodziła wagę 2000 uncyi. Mineralogiczne muzeum 'tutejsze posiada reprodukcye wielu z tych brył, wśród których wspomnienie znaleść można o bryle znalezionej przez rodaka naszego Dembickiego, który jest dotychczas zaliczonym do najstarszych kopaczów złota, pracującego w tym zawodzie blisko lat 40. Bryła przez niego znaleziona ważyła przeszło 700 uncyi.

O ile pojedynczy kopacze szukają zawsze aluwialnego złota, o tyle kompanje z kapitałem zwracają swą uwagę na złotodajne skalne pokłady, jako przedstawiające większą pewność dla lokacyi kapitału. Kwarc jest najwięcej złota zawierającym minerałem i sposoby oddzielania złota od minerału są dosyć proste. Przeważnie odbywa się ono za pomocą rtęci, w tym roku jednak wynaleziono nowy zupełnie sposób czyszczenia złota. Polega on na zanurzaniu drobno zmielonego kwarcu wraz ze złotem w specyalny płyn, w którym ulega on natychmiastowemu rozpuszczeniu się, oddzielając zupełnie złoto, od innych części mineralnych.

Sposób ten uznany za niezrównany, zaczyna wchodzić w użycie i, pomimo nieuniknionych kosztów, kompanje kopalnicze szybko w użycie go wprowadzają. W okolicy posiadającej sławę największych kopalń, nowy ten system wprowadzono pod kierownictwem wa rszawiaka W. Moraczewskiego. Nadzwyczajne powodzenie jakiem on się cieszy i uznanie wśród oko-

licznych wielkich kopalń jest istotnie wystarczającym dowodem na to iż nasi mechanicy mogą z powodzeniem wytrzymywać konkurencyę z angielskimi.

Kopalnictwo zdołało zgromadzić najwięcej naszych rodaków. Parę lat temu rolnictwo stanowiło żywą przynętę i kilku pobrało w okolicy Sydney ziemię w celu rozpoczęcia uprawy wina i innych produktów. Z różnych jednak przyczyn do miasta powracać zaczęli i, o ile mi wiadomo, dziś ani jeden roli nie posiada.

Jak już poprzednio wspomniałem, łączności bliższej między Polakami nie ma żadnej. Trzy lata temu istniało pewne towarzystwo mające na celu zgromadzanie rozrzuconych jednostek od czasu do czasu; lecz niestety, trwało bardzo niedługo. O ile mogłem wywnioskować z wielu danych, towarzystwo to upadło właśnie z powodu zgromadzania się a tem samem łatwości wytwarzania sprzecznych opinij. Jedyną drogą do utrzymania harmonii ogólnej w obec tego byłoby nie zgromadzać się zupełnie; ale ponieważ bez tego towarzystwo nie miałoby racyi bytu, upadek jego stał się rzeczą nieuniknioną. Tak więc ostatnie to ogniwo łączności zerwanem zostało i od tego czasu, biorąc za przyład angielską zasadę: każdy dla siebie, — każdy idzie swą drogą nie znając nawet innych. Może i lepiej! Choć bowiem nie ma jedności, to z drugiej strony nie ma niezgody *).

A. Lewandowski.

Polacy w Brazylii.

V. Uciekinierzy.

Zanim przystąpię do szczegółowego sprawozdania o stanie kolonij polskich, dawniej założonych w Brazylii, uważam za niezbędne zrobienie wzmianki o jednej jeszcze kategoryi wychodźców naszych z ostatniej gorączki brazylijskiej — kategoryi nieodłącznej od każdej masowej wędrówki za oceany — mianowicie o tych, którzy, nie mogąc lub niechcąc się przystosować do warunków miejscowych w Brazylii — po krótszym lub dłuższym pobycie porzucili ten kraj.

Z ogólnej liczby wychodźców naszych najwięcej $^1/_4$ część t. j. 10 tysięcy (naturalnie w przybliżeniu, bo o ścisłych danych nie może tu być mowy) przeważnie z pośród tych, co szukali zarobków na plantacyach kawy lub osiedli w miastach, a także i z pośród tych, co osiedli na koloniach – żadną miarą nie mogło już to zapewnić sobie środków utrzymania, już to znieść gwałtownej zmiany klimatu i znalazło się w położeniu, z którego natychmiast należało wyjść lub narazić się w mniej więcej niedalekiej przyszłości na pewną śmierć. Przeważna część z tych ludzi nie zdołała wydostać się z brazylijskiego „piekła“ i kilka tysięcy trupów — głównie dziecęcych — zasłało brazylijskie miasta, plantacye kawy, kolonie w lasach, a tylko 2—3 tysiące wyrwało się z objęć śmierci, — rozbiegło się na wszystkie strony świata, powróciło do kraju.

Oni to stanowią ową piątą kategoryę — uciekinierów.

Szeregi ich pod względem wartości osobistej składały się z jednostek najrozmaitszych; masę ich jednakże stanowią ludzie, którzy zbyt wiele się spodziewali od Brazylii, a mało liczyli na własne swe siły, na pracę, ludzie zresztą, którzy szli do Brazylii nie mając najmniejszego pojęcia o tamtejszych stosunkach; zobaczywszy Brazylię, dotknąwszy się pracy, przy otrzymaniu której bądź co bądź wskutek rozmaitych przyczyn (brak znajomości języka, brak zdrowia, fachu, pomocy ze strony dawniej osiadłych, których bardzo niewielu było) nasi emigranci (szczególnie w miastach i plantacyach) znaleźli się w gorszem nierównie położeniu od emigrantów innych narodowości — upośledzenie to dotkliwie uczuli na sobie, na swym bycie materyalnym

Nic więc dziwnego, że uciekinierstwo zaczęło się od przybycia pierwszego niemal okrętu z naszymi wychodźcami. Niektórzy tchórzliwego szczególniej usposobienia, zobaczywszy tylko Rio Janeiro, a mając jeszcze środki do powrotu — natychmiast przesiadali na parowce powracające do Europy, i nawet nie skosztowawszy „szczęścia brazylijskiego“ — wracali do kraju, skąd wyszli nie zmuszeni jeszcze widocznie prawdziwą nędzą, i dobrze zrobili, bo mając jakąś jeszcze możność egzystencyi w kraju, nie byliby łatwo zaaklimatyzowali się w Brazylii, bo podobno najlepszym emigrantem jest dopiero ten, co ma mosty popalone za sobą, a jedyną przyszłość swą widzi w pracy.

Największą jednakże falę powrotną tworzyli ci, co zdoławszy wydostać się z zabójczych warunków na plantacyach kawy, wrócili do nadbrzeżnych miast i tu zarobiwszy po kilkadziesiąt milreisów kupowali najtańsze bilety przejazdu do Europy, a więc do Genui, Lizbony, Marsylii, zamożniejsi do Bremen i stamtąd już — nieraz o żebraczym chlebie — wlekli się do kraju. Ludziom obarczonym rodzinami naturalnie znacznie trudniej zarobić na opłacenie przejazdów. Zwiedzając baraki w Rio Janeiro, gdzie emigranci nasi mieli przytułek czasowy — widziałem rodziny z kilkorgiem dzieci, rodziny, których jedynem marzeniem był powrót do kraju, byli to ludzie bez fachu, chłopi; i długo jeszcze, długo pojedyncze rodziny wracać będą zbiedzone, znędzniałe.

Wprawdzie kraj nasz zdobył się na uczynek filantropijny, na jaki żaden inny naród się nie zdobył — na pomoc w postaci dość znacznej sumy pieniędzy zebranych drogą składek, przeznaczonych na powrót emigrantów. Każdemu takiemu czynowi, płynącemu z serca współbraci, tylko przyklasnąć należy; niestety w danym razie pomoc częścią świadomie, częścią bezwiednie okazano nie tym, którym należało; nie czysta filantropia, lecz postronne przyczyny zwichnęły dzieło ofiarodawców.

Niektórzy z naszych kolonistów z południowej Brazylii — porzuciszy kolonie, przedostali się do Uragwaju, Paragwaju, Argentyny, w lipcu 1891 r. nawet znaczniejsze partye dotarły aż do B. Aires.

Specyalną kategoryę uciekinierów Brazylijskich stanowili ludzie młodzi, energiczni — dobrzy rzemieślnicy, mający korzystny fach w ręku, którzy w Brazylii znaleźli pracę dobrze płatną — mieli

*) Nie zgadzamy się na to, że lepiej. Koniecznem jest utworzenie stowarzyszenia spajającego w jakibądź sposób rozproszonych i nieznających się rodaków. (Red.)

egzystencye pod każdym względem dobre, a którzy mimo to w Brazylii nie chcieli pozostać. Jedni obawiali się żółtej febry, inni wskutek tego, że raz wyrwawszy się z krępujących ich w kraju ciężkich pod każdym względem warunków zarobkowych, a mając możność w Brazylii zaoszczędzić trochę grosza — parci pragnieniem zwidzenia nowych krajów, gdzie też zarobek znaleźć się spodziewają — porzucili Brazylią, wracając do Stanów zjednoczonych Półn. Am., do Meksyku, Argentyny, Chilii, do Afryki, wreszcie — rozeszli się po całym zresztą świecie. Kategoryę tę składają byli robotnicy z większych centrów naszych przemysłowych, z Warszawy, Żyrardowa, Łodzi, Białego Stoku.

Mile byłem, na przykład, zdziwiony w styczniu roku zeszłego, gdy wśród różnobarwnych tłumów spacerującej publiczności w Santiago, stolicy Chili — na placu w środku miasta (Plaza de Judepeudenzia) spotkałem gromadę naszych Warszawiaków, spacerujących przy niedzieli z żonami, dziećmi. Cały ich wygląd — przyzwoite ubrania — świadczyły, że źle im się tam nie dzieje. Po zapoznaniu się z nimi dowiedziałem się, że to niedoszli Brazylijczycy nasi, którzy przewędrowali już Brazylię, Uragway, pracowali jakiś czas w B. Aires, teraz znaleźli korzystne zajęcia w Santiago, a pomimo to myślą jechać dalej, do Peru, a ztamtąd może do Ameryki Północnej...

Oto główniejsze typy naszych brazylijskich uciekinierów. *A. Hempel.*

Rozmaitości.

— Zjazd nauczycieli polskich w Ameryce. — Bardzo szczęśliwy i trafny projekt powstał w gronie nauczycieli polskich szkół parafialnych w Chicago.

Jest to projekt urządzenia w roku bieżącym Zjazdu nauczycieli polskich szkół z całej Ameryki. Przedmiotem zjazdu, który najlepiej mógłby się odbyć podczas tegorocznych wakacyi w Chicago, ma być głównie wytworzenie porozumienia pomiędzy naszymi nauczycielami, co do formy i sposobu wykładów w szkołach polskich,

Podczas Zjazdu zostałyby także wypowiedziane odczyty w kwestyach pedagogicznych — i odbyte lekcye próbne, które napewno nie pozostałyby bez doniosłego pożytku dla ogółu uczestników Zjazdu.

W danym razie następstwem Zjazdu mogłoby być utworzenie Towarzystwa nauczycieli polskich w Ameryce.

Zbytecznem chyba dowodzić potrzeby i pożytku zarówno takiego Zjazdu jak i Stowarzyszenia. W starym kraju, szczególniej w Galicyi i Poznańskiem stowarzyszenia takie istnieją i przynoszą wiele korzyści sprawie oświaty ludowej. Zjazdy odbywane dość często i w różnych miejscowościach, są jeszcze pożyteczniejsze. Stanowią one często praktyczną szkołę dla wielu nauczycieli, ułatwiają wymianę poglądów na kwestye pedagogiczne i przyczyniają się do ujednostajnienia metod nauczania.

Zjazdy podobne tem więcej pożytku przyniosłyby tutaj w Ameryce, gdzie mamy tylko nieznaczną liczbę nauczycieli, którzy przechodzili fachowe studya pedagogiczne lub posiadają odpowiednią fachową praktykę.

Wystawa w Chicago wiele pomoże do ściągnięcia w porze wakacyjnej niektórych z nauczycieli szczególniej posiadających po temu środki i zamieszkałych bliżej Chicago. Dla pozostałych należałoby się postarać o pewne ułatwienia pod względem przejazdu i pobytu w Chicago.

O ile wiemy, p. S. Zahajkiewicz, jeden z pierwszych inicyatorów tej sprawy, zamierza przedsięwziąć starania w celu zgromadzenia na ten cel pewnego, choćby niewielkiego funduszu: niewątpliwie, jego starania szczerze zostaną poparte. *Dzien. Chic.*

— Hala Puławskiego w Chicago. Uroczysta inauguracya nowo zbudowanego gmachu Hali Puławskiego na południowo zachodniej stronie miasta Chicago odbyła się d. 1. stycznia 1893 r. o godzinie 3. po południu w przepełnionej publicznością wielkiej hali górnej.

Zebranie otworzył prezes zarządu Tow. budowy Hali p. K. Żychliński, który w paru serdecznych słowach zaznaczył, iż po tylu trudach, pracach i poświęceniach Polacy doczekali się wreszcie własnej hali oraz wyraził nadzieję, że własny już posiadany dach da bodźca Polakom do łączenia się — i narodowej pracy,

Na prezesa obchodu powołany został p. Kociemski, na sekretarza E. Z. Brodowski.

Pierwszą mowę wypowiedział potem dr. K. Midowicz. Szan. mówca objaśnił, iż wzniesiona hala będzie pomnikiem działalności narodu polskiego tu w Ameryce. Gdyby przyjść kiedy miała niespodziewanym trafem w ręce obce, należałoby wyrwać z niej kamień węgielny, ażeby imię polskie z niej zgładzić. Ale to nie nastąpi!... W hali tej łączyć się będziemy do wspólnej pracy i rozrywki. Tu młodzież polska czerpać będzie podczas obchodów miłość dla ojczyzny; tu Sokoły polskie będą ćwiczyły siły swe fizyczne, ażeby wyrość na Polaków, silnych duchem i ciałem. Bo młodzież polska, ta nasza nadzieja, w równej mierze duch i ciało kształcić powinna, ażeby kiedyś być gotową na wezwanie ojczyzny. Mówca oddał dalej uznanie i cześć tym, którzy dzieło budowy Hali doprowadzili do skutku. Sto lat niewoli, wołał mowca, nie zabiło Polski, bo w 100 lat po jej upadku gromadzimy się tutaj na ziemi amerykańskiej, pod polskim dachem i sztandarem, pod imieniem jednego z narodowych naszych bohaterów, pod imieniem Kaź. Puławskiego.

Po mowie doktora Midowicza przemawiał sędzia R H. Tuthill po angielsku, podnosząc zasługi Polaków, jako amerykańskich obywateli, a hrabia H. Łubieński życzył sobie, ażeby zebrania w tej hali dały początek głośnemu protestowi przeciw przemocy wrogów w Polsce.

W imieniu młodego pokolenia Polaków, wychowanych już tutaj na amerykańskiej ziemi, przemawiał następnie adwokat M. Drzemała, zaznaczając, że młode pokolenie dopiero tu poznało, czem jest Polska i że z dumą zalicza się do narodu, wielkiego swem cierpieniem w niewoli i dążeniem do niepodległości.

Ostatni mowca, adwokat J. Peterson, mówił jako Amerykanin, sympatyzujący z rodakami Puławskiego i Kościuszki, którzy przyczynili się do wywalczenia wolności Ameryki, która przez wdzieczność pozwala Polakom pracować tutaj, na amerykańskiej ziemi, nad odbudowaniem Polski.

Pojedyńcze mowy przeplatały śpiewy Chórów Szopena i Moniuszki w połączeniu z muzyką. Narodowe pienia pieściły uszy Polonii chicagowskiej, dumnej z tego, że dorobiła się gmachu, świadczącego o żywotności ludu polskiego na amerykańskiej ziemi. *Kuryer Polski w Milwaukee.*

Echa z obchodu. Świetność i wspaniałość obchodu otwarcia hali Puławskiego przewyższyły najśmielsze nawet oczekiwania najgorętszych patryotów i najbardziej krańcowych optymistów. Zarząd dokonał prawdziwego cudu, wywołując

przed oczy tysiącznego tłumu widzów, jakby za dotknięciem rószczki czarodziejskiej, bo w przeciągu nader krótkiego czasu, cudownie i z przepychem ustrojony salon, mogący pomieścić około 3.000 ludzi: ogólny zapał rósł stopniowo, wznosząc się chwilami aż do ekstazy i, zdaje nam się słusznie, nigdy bowiem jeszcze Polacy Chicagowscy nie czuli w takiem stopniu swej łączności, i serca ich nie uderzały tak równo i zgodnie, jak w ów wieczór noworoczny.

Wielkie uznanie należy się człowiekowi, jeszcze mało znanemu w Chicago p. Henzlowi; niedawno bowiem przybył ze stolicy naszego kraju — Warszawy. Jesto były kapelmistrz okiestry wojskowej w Warszawie, a obecnie dyrektor własnej orkiestry Polskiej w naszej drugiej Warszawie — w m. Chicago. Trudno pojąć, skąd p. H. zdołał wynaleść, zebrać i zorganizować w jedną całość aż tylu wybornych muzyków, formujących jego orkiestrą.

Słuchaczom, obecnym na obchodzie mogło się wydawać, iż są na koncercie orkiestralnym w jednej z wielkich hal Europerskich, a nie słuchają zwykłej gry w Ameryce, która się nie cieszy zbyt wielką reputacyą, tyle bowiem uczucia, precyzyi i siły tchnęło z każdej nuty, z każdego uderzenia, z każdego taktu.

My Polacy, którym każdy urywek, każda zwrotka tego cudownego wieńca pieśni przypominała nasz kraj ojczysty, naszą ukochaną glebę, nasze urodzajne pola i niwy, my nie mogliśmy podziwiać tylko uroku melodyj, nie mogliśmy nie dać się unieść gorącemu, bezgranicznemu prawie entuzyazmowi; każdy bowiem z nas czuł, jak mu serce bije przyspieszonem tętnem, jak wszystkie fibry, wszystkie nerwy jego organizmu drgają kurczowo, jak, wreszcie, oczy się zwilżają łzami, lecz łzami radości i dumy narodowej, łzami wywołanemi gorącą miłością kraju i nadmiarem uczuć i wspomnień z nim połączonych.

Melodye te, splecone w jedną całość, dla uważnego słuchacza przedstawiały, jakby w kalejdoskopie cały przebieg historyczny naszego kraju, wesoły kujawiak, skoczny marsz, smętna dumka naszego wieśniaka — to złoty wiek Polski. Słuchając ich drgaliśmy całem ciałem w takt ulubionych naszych narodowych melodyj, nasi dzielni wojacy uderzali pałaszami i pobrzękiwali podkówkami, a radość bezmierna opromieniała czoła i tryskała z oczu wszystkich obecnych.

Lecz naraz urywa się raptownie wątek mazura, a natomiast daje się słyszeć straszna skarga ciemiężonego narodu zasyłającego gorące modły do Stwórcy Wszechświata o wyzwolenie z rąk tyrana swej nieszczęsnej ojczyzny. — Czoła nasze mimowiednie marszczą się, oczy ciskają błyskawice, a ręka wojaka znów chwyta za pałasz, ale tym razem ściska go silnie w dłoni, jakby gotując go do uderzenia na wroga.

I znów następuje chwilowa cisza: skarga uleciała w wyżyny, przed tron Wszechmogącego i zapewne została wysłuchaną, gdyż otóż odzywa się pieśń pełna werwy i ognia, dowodząca, że ducha naszego narodu nie tak łatwo skruszyć i że w tejże chwili, gdy tyran zwiedzony pozornym spokojem, najbezpieczniej zasypia, duch ten jest zdolny otrząsnąć się ze skuwających go pętów, rażąc i miażdżąc za jednym zamachem swych gnębicieli i oprawców. O! jest jeden punkt, na którym Polacy się łączą i zgadzają, odpychając daleko od siebie swego starego wroga, swary i niesnaski, a punktem tym jest — **muzyka narodowa.**

„Nowe Życie“.

Pokwitowanie Redakcyi.

Otrzymaliśmy dla rodaków w Brazylii i Detroit:

Od Wielb. ks. Maryańskiego . . .	4	książek
od p. Stanisława Bala	8	„
z Dyrekcyi Towarzystwa pedagogicznego	150	„
od Wielb. ks. Puchały z Althütte na Bukowinie (Przegląd powszechny) .	45	„

Od Redakcyi.

W celu ułatwienia przesłania przenumeraty załączamy blankiet przekazu pocztowego.

INSERATY.

TREŚĆ. Do polskiej prasy amerykańskiej w sprawie wystawy Lwowskiej 1894. — Compania Metropolitana w Brazylii. — Rezultat podróży Dra Dunikowskiego. — Wiadomości naukowe z Paryża i Francyi. — Polacy w Australii, nap. A. Lewandowski. — Polacy w Brazylii, V. Uciekiniery, nap. A. Hempel. — Rozmaitości. — Pokwitowania Redakcyi — Od Redakcyi. — Inseraty.

Redaktor odpowiedzialny **Bogumił Sternad**. Z I. Związkowej Drukarni we Lwowie.